

Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



OSTATNIA ODYSEJA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE LAST ODYSSEY

Copyright © James Czajkowski 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: Scott Rothstein/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-8215-593-8

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...
...

10 grudnia, 1515

Rzym, Italia

Artysta pochylił się nad odciętą głową. Nadziana na szpic makabryczna dekoracja stała na stole jego pracowni, idealnie oświetlona promieniami porannego słońca. Właśnie ze względu na cudowne światło postanowił zamieszkać w Belwederze. Willa stała w obrębie Watykanu, na terenach uważanych za święte, on jednak bez chwili wahania wprawnie ciął skórę na policzku martwej dziewczyny. Biedaczka zmarła przed siedemnastymi urodzinami.

Tragedia, ale taka, która czyniła ją doskonałym okazem.

Odsłonił mięśnie pod skórą i mrużąc oczy, popatrzył na delikatne włókna ciągnące się od kości jarzmowej do kącika wydatnych ust. Przez godzinę ostrożnie skubał mięśnie pincetą i obserwował, jak blade usta poruszają się w odpowiedzi na jego wysiłki. Przerywał pracę, żeby zwinnymi ruchami lewej ręki szkicować na pergaminie każdą zmianę, jaką spowodował. Odnotował nieznaczny ruch nozdrza martwej kobiety, zmianę zarysu policzka, zmarszczenie dolnej powieki.

Zadowolony, wyprostował się ze strzyknięciem w plecach i podszedł do spoczywającej na sztalugach deski. Podniósł pędzel z końskiego włosia i przyjrzał się lewej stronie niedokończonej twarzy modelki, ukazanej z półprofilu. Bez niej musiał kontynuować pracę z pamięci. W tej chwili nie zwracał uwagi na namalowane loki ani fałdy sukni. Zanurzył pędzel w oliwie i poprawił cień blisko ust, wykorzystując wiedzę zdobytą właśnie dzięki sekcji.

Zadowolony z efektu, odsunął się od obrazu.

Lepiej... znacznie lepiej.

Dwanaście lat temu, gdy mieszkał we Florencji, bogaty kupiec Francesco del Giocondo zamówił u niego portret swojej młodej żony, pięknej i tajemniczej Lisy. Od tamtej pory woził ze sobą jej nieukończony obraz: z Florencji do Mediolanu, z Mediolanu do Rzymu. Nawet teraz nie był gotów pozwolić jej odejść.

Ten parwienusz Michał Anioł – który czasami pomieszkiwał w Belwederze – wyśmiewał jego niechęć do ukończenia obrazu, szydząc z takiego oddania z całą siłą młodzieńczej arogancji.

Nie miało to jednak znaczenia. Leonardo spojrział w patrzące na niego namalowane oczy. Skóra Lisy zdawała się jarzyć we wpadającym przez okna zimnym porannym świetle i w ciepłym blasku gasnących węgla w kominku.

Od lat, dzięki każdemu okrucinowi zdobytej wiedzy, czynię cię piękniejszą, pomyślał.

Ale jeszcze nie skończył.

Drzwi pracowni otworzyły się za jego plecami. Skarga zawiasów przypomniała mu o innych obowiązkach, o pilniejszych zamówieniach, które znów miały go oderwać od jej uśmiechu. Ze złością ścisnął pędzel. Łagodny, przeproszający głos ucznia nieco go uspokoił.

– Mistrzu – odezwał się Francesco – zgromadziłem w pałacowej bibliotece wszystko, co kazałeś.

Leonardo westchnął, odłożył pędzel i po raz kolejny odwrócił się plecami do Lisy.

– *Grazie*, Francesco.

Gdy szedł do wiszącej przy drzwiach podbitej futrem zimowej peleryny, uczeń zatrzymał spojrzenie na częściowo odartej ze skóry dziewczynie. Szeroko otworzył oczy i zbladł, ale powstrzymał się od komentarza.

– Przestań się gapić, Francesco. Z pewnością takie widoki już cię nie wytrącają z równowagi. – Leonardo zarzucił pelerynę na ramiona i ruszył do drzwi. – Jeśli chcesz zostać mistrzem artystą, musisz szukać wiedzy wszędzie tam, gdzie można ją zdobyć.

Francesco skinął głową i wyszedł za nim z pracowni.

Zeszli po kamiennych schodach na dziedziniec Belwederu. Szron pobielił i zmroził trawę. Rześkie powietrze pachniało dymem palonego drewna. Przy nieukończonych skrzydłach po obu stronach dziedzińca stały rusztowania.

Idąc przez dziedziniec, Leonardo był wdzięczny za ten moment, w którym historia jakby czekała na przejście z jednej epoki do następnej. To wrażenie nieuchronnej zmiany przyprawiało go o dreszcz emocji, napełniało energią, rozniecało pełen nadziei ogień w jego piersi.

Wreszcie, z nosem zaczerwienionym z zimna, dotarł ze swoim uczniem do wyniosłego Pałacu Apostolskiego. Kaplicę niedawno pomalował ten przekłety Michał Anioł.

Na tę myśl Leonarda ogarnęła irytacja, która przepędziła zimowy chłód. W ubiegłym roku w środku nocy zakradł się z lampą do kaplicy. Obejrzał pracę młodego rywala po kryjomu, nie chcąc mu sprawiać satysfakcji okazywaniem uznania. Pamiętał, jak zadzierał głowę, oglądając sufit z nabożnym podziwem. Nie mógł temu zaradzić: czuł szacunek dla geniuszu, doceniał nowatorskie zastosowanie perspektywy na tak rozległej przestrzeni. Sporządził kilka notatek, czerpiąc z dzieła Michała Anioła tyle wiedzy, ile tylko mógł.

Nieodłączna gorycz związana z młodym artystą przypomniała mu o nauce, jakiej udzielił Francescowi: „Musisz szukać wiedzy wszędzie tam, gdzie można ją zdobyć”. Ale to nie oznaczało, że należy wielbić jej źródło.

Wszedł po pałacowych schodach, skinął głową strażnikom i przestąpił próg.

Może wyczuwając jego irytację, Francesco ruszył pierwszy do skrzydła, w którym mieściła się watykańska biblioteka. Pracował tam nocami, przetrząsając zakurzone półki i szafy, gromadząc materiały, które mistrz pragnął przestudiować przed przystąpieniem do pracy nad następnym zamówieniem.

Czas szybko uciekał.

Leonardo za trzy dni miał wyruszyć z papieżem Leonem X w podróż na północ, do Bolonii, na spotkanie z królem Francji, Franciszkiem I,

który oblegał Mediolan. Miało ono dotyczyć spraw państwowych, ale monarcha zażyczył sobie obecności artysty. Dziwnemu żądaniu towarzyszył list.

Król, który znał talent Leonarda, chciał zamówić wielkie dzieło upamiętniające francuskie zwycięstwo. Miał to być złoty mechaniczny lew, który nie tylko będzie chodzić, ale też dzięki mechanizmowi zegarowemu pokazywać ukryty w piersi bukiet lilii, herb Burbonów.

Francesco, nieodłączny towarzysz Leonarda, odgadł jego myśli.

– Naprawdę myślisz, mistrzu, że zdołasz zaprojektować takie urządzenie?

Leonardo spojrział na młodego człowieka.

– Czyżbym słyszał powątpiewanie w twoim głosie, Francesco? Kwestionujesz moją pomysłowość?

– O... oczywiście, że nie, mistrzu – wyjąkał młodzieniec z policzkami oblanymi szkarłatem.

– Dobrze, bo sam mam wystarczająco wiele wątpliwości – powiedział Leonardo z uśmiechem. – Nawet arogancja ma swoje granice. Wielkie dzieła są zrodzone z równych części boskiego geniuszu i ziemskiej pokory.

– Pokory? – Francesco uniósł brew. – Ty mówisz o pokorze?

Jego mistrz zaśmiał się. Chłopak dobrze go znał.

– Najlepiej pokazywać arogancję publicznie – rzekł Leonardo. – Przekonać cały świat o swojej pewności siebie we wszystkich dążeniach.

– A prywatnie?

– Prywatnie należy poznawać swoje najprawdziwsze ja. Trzeba pokory, żeby rozpoznać własne ograniczenia i wiedzieć, kiedy należy szukać dalszej wiedzy. – Leonardo przypomniał sobie, jak wlepił oczy w oświetlony przez lampę fresk Michała Anioła i czego to go nauczyło. – Od tego zaczyna się prawdziwy geniusz. Człowiek, który ma wiedzę i wyobraźnię, może zrobić wszystko.

Pośpieszył ku bibliotece, gotów dowieść prawdziwości tego stwierdzenia.

Obym tylko dobrze się spisał, pomyślał Francesco, przytrzymując drzwi dla swojego mistrza, po czym wszedł za nim do papieskiej biblioteki. Modlił się, żeby jego starania nie rozczarowały wielkiego człowieka.

Od chwili, gdy przestąpili próg tego wielkiego pomieszczenia, towarzyszył im stęchły zapach starej skóry i murszejących kartek. Drewniane regały sięgały po sam sufit, a między nimi gdzieś tam majaczyły blade duchy marmurowych posągów. Samotna lampa oświetlała szeroki stół, na którym schludnie ustawiono stosy książek, pliki luźnych papierów i piramidę zwojów.

Leonardo podszedł do stołu.

– Widać, że byłeś zajęty, Francesco.

– Zrobiłem, co w mojej mocy – powiedział z westchnieniem chłopak. – Szczególnie trudne było wytropienie tej arabskiej księgi.

Jego mistrz obejrzał się, unosząc brwi.

– Znalazłeś ją?

Francesco z pewną dumą wskazał gruby tom leżący pośrodku zgromadzonych materiałów. Skórzana okładka była podniszczona i szerniała ze starości, ale złote litery tytułu pozostały jasne i połyskiwały w blasku lampy. Arabskie pismo wyglądało pięknie.

Leonardo zawiesił palec nad tytułem *كتاب في معرفة الحيل الهندسية* i przeczytał głośno:

– *Kitab fi ma'rifat al-hijal al-handasija.*

– *Księga wiedzy o przemyślnych urządzeniach mechanicznych* – przetłumaczył ściszym głosem Francesco.

– Została napisana dwa stulecia temu – rzekł Leonardo. – Potrafisz sobie wyobrazić czas, zwany złotym wiekiem islamu, kiedy naukę i nauczanie otaczano najwyższym szacunkiem?

– Z przyjemnością kiedyś odwiedziłbym takie miejsca.

– Ach, mój drogi Francesco, spóźniłeś się. Te ziemie, rozdarte przez wojny, brutalne w swojej ignorancji, pogrążyły się w mroku. Nie znalazłbyś tam radości. – Leonardo opuścił palce na okładkę. – Na szczęście ich dawna wiedza przetrwała.

Otworzył księgę na przypadkowej stronie. Czarny inkaust płynął rzeką arabskiego pisma wokół rysunku, który przedstawiał fontannę z wodą spływającą z dzioba pawia do skomplikowanego mechanizmu dźwigni i bloczków. Francesco wiedział, że księga jest pełna projektów innych urządzeń, w tym podobnych do tego, które król Francji chciał zamówić u jego mistrza.

– Autorem jest Ismail al-Dżazari – dodał Leonardo. – Genialny artysta i naczelny inżynier w pałacu Artuklu. Przypuszczam, że wiedza zawarta w tej księdze pomoże mi zaprojektować złotego lwa dla francuskiego króla.

Zza ich pleców dobiegł głos:

– Może jest inna książka, która również ci pomoże.

Leonardo i jego uczeń odwrócili się ku drzwiom biblioteki, które przez nieuwagę zostawili uchylone. W wejściu stał niski, ale krzepki mężczyzna. Jego skromna biała sutanna i piuska połyskiwały w nikłym świetle. Ze skwapliwością wynikającą z młodego wieku Francesco ukląkł i schylił głowę. Jego mistrz ledwie zdążył ugiąć kolano, gdy mężczyzna w piusce powiedział:

– Wystarczy. Wstańcie.

Francesco wyprostował się, ale stał z pochyloną głową.

– Wasza Świątobliwość.

Papież Leon X ruszył w ich stronę, zostawiwszy dwóch strażników przy drzwiach. Niósł grubą księgę.

– Dowiedziałem się, że twój uczeń przetrząsa nasze biblioteki. I o celu tych poszukiwań. Wygląda na to, że masz zamiar dołożyć starań, żeby zadowolić naszych nowych gości na północy.

– Słyszałem, że król Franciszek potrafi być bardzo wymagający – rzekł Leonardo.

– I wojowniczy – dodał uszczypliwie papież. – Wolałbym, żeby ograniczył swoje zapędy do ziem na północy. Co oznacza, że lepiej nie sprawiać zawodu jego królewskiej mości, żeby nie przyszło mu na myśl zapuścić się dalej na południe ze swoimi żołnierzami. Aby temu zapobiec, postanowiłem wesprzeć cię w twoich wysiłkach.

Papież podszedł do stołu i położył na nim ciężki tom.

– Znalaziono to w Świętym Scrinium.

Francesco zeszywniał z zaskoczenia. Święte Scrinium było prywatną papieską biblioteką, podobno zawierającą zdumiewające pisma, religijne i inne, pochodzące nawet z czasów powstania chrześcijaństwa.

– To zdobycz z okresu pierwszej krucjaty – wyjaśnił papież. – Perkskie dzieło z dziewiętego stulecia po narodzinach naszego Pana, poświęcone urządzeniom mechanicznym. Przyszło mi na myśl, że może ci się przydać, podobnie jak tom znaleziony przez twojego ucznia.

Wielce zaciekawiony Leonardo uniósł okładkę z dawno wytartym tytułem. Zobaczył nazwisko autora i gwałtownie obrócił się twarzą do papieża.

– Banu Musa – przeczytał na głos.

Jego Świętobliwość pokiwał głową.

– Synowie Mojżesza – przełożył.

Francesco chciał zadać pytanie i już otwierał usta, ale onieśmielony, powściągnął język.

Mistrz odczytał jego myśli i udzielił odpowiedzi, lekko obracając się w jego stronę.

– Synowie Mojżesza to trzech perscy bracia, którzy żyli cztery stulecia przed Ismailem al-Dżazarim. Al-Dżazari wymienił ich w swojej księdze, dziękując im za inspirację. Nie przypuszczałem, że jeszcze istnieją jakieś kopie tego dzieła.

– Nie rozumiem – szepnął młodzieniec, podchodząc bliżej. – Co to za tom?

Leonardo położył dłoń na starożytnym piśmie.

– Prawdziwy cud. *Księga przemyślnych urządzeń*.

– Ale... – Francesco spojrział na drugą księgę, tę, której poszukiwał z takim mozolem.

– Tak – rzekł Leonardo. – Nasz czcigodny Al-Dżazari nazwał swoje dzieło po tej starszej księdze, tylko lekko zmieniając tytuł. Podobno ci trzej bracia, Synowie Mojżesza, po upadku Cesarstwa Rzymskiego spędzili dziesiątki lat na gromadzeniu i studiowaniu greckich i rzymskich tekstów. Z czasem na podstawie znalezionej w nich wiedzy stworzyli własną księgę wynalazków.

– Braci interesowała nie tylko wiedza naukowa – włączył się do rozmowy papież. Przewertował księgę do końca i wyjął plik luźnych kartek. – Co z nich rozumiesz?

Leonardo zmrużył oczy, patrząc na pożółkłe stronicę pokryte pochylonym pismem, po czym pokręcił głową.

– To po arabsku, ale daleko mi do biegłej znajomości tego języka. Może z czasem zdołam...

Papież lekceważąco machnął ręką.

– Zatrudniam arabskich uczonych. Już przełożyli te strony. Wygląda to na jedenastą pieśń większego dzieła poetyckiego. Oto pierwsze wersy: *Przybywszy nad brzeg morza, łódź tam zostawioną spychamy najpierw z brzegu w boską otchłań słońca...*

Francesco zmarszczył brwi. Dlaczego to brzmi znajomo? – zastanawiał się.

– *Więc owce na łódź bierzem* – kontynuował papież, recytując tłumaczenie z pamięci – *a nareszcie sami wsiadamy; zasmuceni lejem trzy żałoby. Wtem od łądu na okręt nasz błękitnodzioby Kirke wiatr nam nastąpiła...*

Chłopak, niepomierne zaskoczony, wciągnął powietrze ze świstem tak głośnym, że papież urwał w pół zdania.

Imię Kirke... to może oznaczać tylko jedno.

Leonardo przysunął kartki bliżej oczu i potwierdził jego przypuszczenia.

– Mówisz, że to tłumaczenie *Odysei* Homera?

Jego Świątobliwość skinął głową, wyraźnie rozbawiony.

– Na arabski, sprzed jakichś dziewięciu stuleci.

Francesco wiedział, że jeśli to prawda, to może być najwcześniejsza spisana wersja poematu Homera. Odzyskał mowę.

– Ale dlaczego ta pieśń jest tutaj, utknięta w starożytną księgę o perskich urządzeniach mechanicznych?

– Może nie bez powodu. – Papież pokazał ostatnią stronę.

Widniała na niej wyrysowana jakby w pośpiechu skomplikowana ilustracja. Był to schemat mechanicznej mapy z licznymi kołami zębatymi i drutami, zaopatrzony w nagryzłomone po arabsku notatki. Mapa obejmowała basen Morza Śródziemnego i sięgała kawałek dalej

na zachód. Wyglądała na niekompletną, jakby prace nad nią zostały przerwane.

– Co to jest? – zapytał Francesco.

Papież zwrócił się do Leonarda:

– Mam nadzieję, że ty zdołasz to odkryć, mój drogi przyjacielu. Tłumacze zdołali dostrzec niewiele wskazówek.

– Na przykład jakie? – Mistrzowi rozbłyły oczy; wyraźnie zaintrygowała go ta tajemnica.

– To pierwsza z nich. – Papież postukał w arabskie strony *Odysei*. – Ta część eposu opowiada o podróży Odyseusza do świata podziemnego, krainy Hadesa i Persefony, greckiej wersji piekła.

Francesco zmarszczył czoło, nic nie rozumiejąc.

Papież wskazał narysowane urządzenie.

– Zdaje się, że Synowie Mojżesza próbowali skonstruować narzędzie, które by ich tam doprowadziło. – Spojrzał twardo na Leonarda. – Do świata umarłych.

Ten prychnął drwiąco:

– Niedorzeczne.

Po plecach Francesca przebiegły ciarki.

– Dlaczego ci bracia mieliby szukać takiego miejsca? – zapytał.

Jego Świętobliwość wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie, ale to niepokojące.

– Z jakiego powodu? – dociekał Leonardo.

Gdy papież obrócił się twarzą do mistrza i młodzieńca, ci wyczytali szczerłość w jego oczach. Wskazał ostatni wers pod ilustracją.

– Ponieważ tu jest napisane... że Synowie Mojżesza je znaleźli. Znaleźli wejście do piekła.

1

Fiord Sermilik, Grenlandia

21 czerwca, godzina 9.28 czasu miejscowego

Morska mgła skrywała potwora.

Gdy łódź zniknęła w upiornym wale mgły, poranne światło przygasało i nastał posępny półmrok. Nawet warkot silnika był stłumiony przez ciężki całun kropelek. Po kilku sekundach temperatura gwałtownie spadła – z kilku stopni poniżej zera do takiego mrozu, że pasażerka łodzi miała wrażenie, że wdycha lodowate sztylety.

Doktor Elena Cargill zakasłała, żeby uchronić płuca przed zastygnięciem w bezruchu. Próbowwała jeszcze bardziej się otulić jasnoniebieską kurtką, którą miała na kombinezonie piankowym, chroniącym przed zabójczo zimną wodą. Platynowe włosy utknęła pod grubą wełnianą czapkę, co do kosmyka, i szczelnie okręciła szyję szalikiem.

Co ja tu robię?

Wczoraj pociała się na wykopaliskach w północnym Egipcie, gdzie wraz ze swoim zespołem pieczołowicie odkopywała wioskę, która tysiące lat temu została na wpół pochłonięta przez Morze Śródziemne. Kierowanie amerykańsko-egipską ekipą było znacznym wyróżnieniem, zwłaszcza dla kogoś, kto dopiero za dwa miesiące skończy trzydzieści lat, co nie znaczy, że nie zasługiwała na to stanowisko. Miała dwa doktoraty – z geomorfologii i archeologii – i wybijała się w obu dziedzinach. Co więcej, chcąc pracować w terenie, odrzuciła propozycję objęcia stanowiska wykładowcy na swojej Alma Mater, Uniwersytecie Columbia.

Podejrzewała jednak, że mianowanie na kierownika zespołu uzyskała nie tylko dzięki swoim dokonaniom naukowym. Jej ojcem był senator Kent Cargill, reprezentujący wielki stan Massachusetts. Wprawdzie z uporem powtarzał, że nie pociągał za żadne sznurki, ale był również zawodowym politykiem, pełniącym urząd już czwartą kadencję, co oznaczało, że kłamanie stało się jego drugą naturą.

Co więcej, obecnie był przewodniczącym senackiej Komisji Spraw Zagranicznych. Czy coś komuś szepnął, czy nie, jego miejsce w Senacie prawdopodobnie miało wpływ na proces decyzyjny przy jej mianowaniu.

Jak mogłoby nie mieć?

I nagle otrzymała niespodziewane wezwanie, żeby polecieć na zamrożone pustkowia Grenlandii. Dobrze, że przynajmniej nie pochodziło od ojca, tylko od koleżanki ze studiów, przyjaciółki, która zwróciła się do niej z prośbą o obejrzenie dokonanego tam odkrycia. Elena zdawała sobie sprawę, że od wykopalisk w Egipcie odciągnęła ją bardziej ciekawość niż przyjaźń – ciekawość szczególnie podsycona przez ostatnie słowa koleżanki: „Musisz to zobaczyć. Może będziesz mogła napisać historię na nowo”.

Tak oto poleciała z Egiptu na Islandię i z Reykjavíku do osady Tasiilaq na południowo-wschodnim wybrzeżu Grenlandii. Przenocowała w jednym z dwóch tamtejszych hoteli. Przy kolacji, na którą dostała potrawkę z owoców morza, próbowała wypytywać o odkrycie, ale odpowiadały jej puste spojrzenia albo kręcenie głowami.

Miała wrażenie, że kilku miejscowych coś wie, nikt jednak nie chciał jej nic powiedzieć. Teraz też nie była ani trochę mądrzejsza.

Z trzema nieznanymi mężczyznami siedziała w łodzi, która płynęła po nieruchomej wodzie fiordu w mgłę gęstej jak zimna owsianka. Przyjaciółka dziś rano przysłała jej SMS-a z obietnicą, że po południu spotka się z nią w Tasiilaq.

To oznaczało, że na razie Elena jest zdana na siebie, i zdecydowanie nie była zachwycona sytuacją.

Podskoczyła, gdy głośny ryk poniósł się nad wodą, wprawiając w drżenie płaską taflę wokół łodzi. Było tak, jakby czyhający przed

nimi potwór wyczuł ich bliskość. Przez całą noc słyszała podobne dudnienie, które działało jej na nerwy i utrudniało zaśnięcie.

Siedzący przed nią wielki jak góra mężczyzna z kasztanową brodą obrócił się w jej stronę. Policzki i nos miał czerwone, ogorzałe od słońca, wiatru i mrozu. Nie zapiął żółtej kurtki, jakby zimno mu nie przeszkadzało. Przedstawił się jako kanadyjski klimatolog, ale nie zapamiętała jego nazwiska. Brzmiało chyba szkocko. W myślach nazywała go McWikingiem. Patrząc na zahartowaną w zimnie twarz, miała kłopot z określeniem jego wieku. Dawała mu od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat.

Mężczyzna wskazał ręką przed siebie.

– Lodowcowe trzęsienie – wyjaśnił, gdy dudnienie ucichło. – Nie ma powodu do obaw. Lodowce się cięlą, bryły lodu odrywają się od czoła Helheimu. Ta masa lodu przed nami jest jednym z najszybciej poruszających się lodowców świata: około trzydzieści metrów na dzień. W zeszłym roku oderwał się wielki kawał, długi na ponad sześć kilometrów, szeroki prawie na dwa i mający osiemset metrów grubości.

Elena próbowała wyobrazić sobie przepływającą obok ich łódki górę lodową wielkości mniej więcej dolnego Manhattanu.

Klimatolog popatrzył w mgłę.

– Wtedy trzęsienie trwało cały dzień i zostało zarejestrowane przez sejsmografy na całym świecie.

– Czy to ma mnie podnieść na duchu? – zapytała z drżeniem w głosie.

– Wybacz. – Uśmiechnął się od ucha do ucha; jego zielone oczy zaskrzyły się nawet w gęstej mgłę i natychmiast wydał się znacznie młodszy.

Elena nagle przypomniała sobie jego imię i nazwisko: Douglas MacNab.

– Właśnie ta aktywność ściągnęła mnie tu dwa lata temu – dodał. – Doszedłem do wniosku, że lepiej ją badać, póki można.

– Co masz na myśli?

– Brałem udział w operacji NASA IceBridge, projekcie, w którym używano radarów, altymetrów laserowych i kamer o wysokiej rozdzielczości do monitorowania zmian zachodzących w grenlandzkim ląd-

lodzie. Mieliśmy pod lupą przede wszystkim Helheim, który w ciągu dwudziestu lat cofnął się prawie o pięć kilometrów i stał się o sto metrów cieńszy. Można go uznać za zwiastuna zmian na całej Grenlandii. Łądolód topi się sześć razy szybciej niż trzydzieści lat temu.

– A jeśli cały lód zniknie?

– Woda z rozpuszczonego tylko tutaj lodu i śniegu podniesie poziom morza o sześć metrów.

To ponad dwa piętra, pomyślała Elena i wyobraziła sobie wykopaliska w Egipcie, starożytne ruiny na wpół zatopione przez Morze Śródziemne. Czy taki los czeka wiele nadbrzeżnych miast?

– Mac, przestań się panikę – włączył się do rozmowy siedzący po drugiej stronie łodzi chudy, ciemnowłosy mężczyzna.

Elena pomyślała, że gdyby miała opisać go jednym słowem, wybrałaby „kanciasty”. Jakby składał się wyłącznie z ostrych krawędzi, od łokci i kolan, przez trójkątny podbródek, po wystające kości policzkowe.

– Nawet przy obecnych trendach ocieplenia to, co opisałeś, nie zdarzy się przez stulecia, jeśli w ogóle do tego dojdzie – powiedział. – Widziałem twoje dane i dane NASA, przeprowadziłem też własne korelacje i ekstrapolacje. Jeśli chodzi o klimat i cykliczny charakter zmian temperatury globalnej, liczba wchodzących w grę zmiennych jest zbyt wielka, żeby wyciągać ostateczne...

– Daj spokój, Nelson – przerwał mu MacNab. – Nie uważam twojej oceny za obiektywną. Czeki, które otrzymujesz, podpisuje koncern wydobywczy Allied Global.

Elena przyjrzała się geologowi. Kiedy Conrad Nelson się jej przedstawiał, nie wspomniał, że jest zatrudniony przez przedsiębiorstwo wydobywcze.

– A kto stoi za twoim grantem, Mac? – rzucił Nelson. – Konsorcjum grup ochrony środowiska. Z pewnością nie ma to najmniejszego wpływu na twoje oceny.

– Dane to dane.

– Poważnie? Nie można ich naginać? Nie można nimi manipulować, żeby poprzeć subiektywne stanowisko?

– Pewnie, że można – przyznał MacNab.

Nelson wyprostował plecy, wyraźnie przekonany, że dowiódł swoich racji, ale jego oponent jeszcze nie skończył.

- Widziałem, że concern robi to na okrągło – powiedział.
- Wiesz co? – prychnął Nelson i pokazał mu środkowy palec.
- Hm... dla mnie wygląda to tak, jakbyś przyznawał, że jestem numerem jeden.

Nelson się zachnął i opuścił rękę.

- Jak mówiłem, dane można błędnie interpretować.

Wał mgły wokół nich nagle pojaśniał i postrzępił się, odsłaniając to, co leżało przed nimi.

Nelson wyciągnął ostatni argument.

- Spójrz tam. Powiedz mi, czy wygląda na to, że niedługo zabraknie nam lodowców?

Setki metrów dalej świat kończył się ścianą lodu. Spękane czoło lodowca, ciągnące się jak okiem sięgnąć, przywodziło na myśl fortyfikacje zamrzniętych zamków ze skutymi lodem blankami i kruszącymi się wieżami. Poranne słońce załamywało się na jego powierzchni, ujawniając spektrum barw od najbledszego błękitu po złowieszczą czerń. Nawet powietrze skrzyło się od drobiny lodu, gdy podpłynęli bliżej.

- Jest ogromny – odezwała się Elena, chociaż to słowo nie oddawało sprawiedliwości temu kolosowi.

MacNab uśmiechnął się.

– Zgadza się. Helheim ma ponad sześć kilometrów szerokości i więcej niż sto sześćdziesiąt długości. Miejscami lód jest gruby niemal na dwa kilometry. To jeden z największych lodowców spływających do północnego Atlantyku.

- A jednak wciąż tu jest – wtrącił Nelson. – I będzie przez wieki.
- Nie, jeśli Grenlandia co roku będzie traciła trzysta gigaton lodu.
- To o niczym nie świadczy. Łądolód grenlandzki kurczy się i rośnie, od jednego zlodowacenia do następnego.

Elena przestała słuchać ich dyskusji, zwłaszcza że ta stawała się coraz bardziej specjalistyczna. Pomimo sporu, jaki ci dwaj toczyli, wyczuwała, że nie są wrogami. Wyraźnie bawiły ich takie potyczki. Tylko prawdziwi twardziele potrafią przetrwać w tym surowym miejscu,

które niewątpliwie wykuwa hart ciała i ducha. Z pewnością właśnie to łączyło tych dwóch naukowców – stali po przeciwnych stronach barykady zmian klimatycznych, ale się przyjaźnili.

Skierowała uwagę na otoczenie. Przyglądała się milczącym górcom lodowym. Skiper łodzi – niemłody już Inuita o nieodgadzionych czarnych oczach w okrągłej twarzy, która wyglądała jak obciążona wygarbowaną skórą – z wprawą przeprowadzał ich przez labirynt pływającego lodu, stoicko pykając z kościanej fajki. Zauważyła, że każdą lodową bryłę omija z daleka. Wkrótce zrozumiała, dlaczego to robi. Jedna z na pozór małych brył przekreśliła się na drugą stronę, ukazując szeroką półkę, dotąd niewidoczną pod granatową powierzchnią wody. Gdyby w czasie tej przewrotki znajdowali się blisko niej, półka pociągnęłaby łódź ze sobą.

Było to przypomnienie o ukrytych tu niebezpieczeństwach.

Nawet nazwa lodowca sugerowała zagrożenie.

– Helheim... – mruknęła Elena. – Królestwo Hela.

MacNab ją usłyszał.

– Zgadza się. Lodowiec nosi nazwę wikińskiego świata umarłych.

– Kto mu ją nadał?

Nelson westchnął ciężko.

– Kto wie? Pewnie jakiś nordycki badacz z sardonicznym poczuciem humoru i miłością do nordyckiej mitologii.

– Sądzę, że źródło nazwy sięga znacznie dalej – powiedział MacNab. – Inuici wierzą, że niektóre lodowce są pełne złej woli. Miejsco-
wi przekazują to ostrzeżenie z pokolenia na pokolenie. Helheim jest jednym z tych złych lodowców. Są przekonani, że jest domem Tuurngaqą, czyli morderczego ducha. To ich wersja demonów.

Skiper wyjął fajkę z ust i splunął do morza.

– Nie używać tego imienia – wymamrotał ostrzegawczo.

Najwyraźniej takie przesady niezupełnie umarły.

– Założę się, że właśnie te stare opowieści były prawdziwą inspiracją dla kogoś, kto postanowił nazwać ten lodowiec Helheimem – powiedział ściszym głosem MacNab.

Elena rozejrzała się i wreszcie zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju od chwili wejścia do łodzi:

– Dokąd właściwie płyniemy?

MacNab wskazał czarny łuk w lodowej ścianie. Byli już dość blisko, żeby dostrzec w nim otwór – cienistą szczelinę wyciętą w czole lodowca. Okalał ją lazurowy lód, który zdawał się jarzyć od środka.

– W ubiegłym tygodniu odłamał się tu duży fragment, odsłaniając wymytą przez wodę bramę lodowcową.

Elena zauważyła wypływający z tunelu strumień, dość silny, żeby odpychać kawałki lodu, które wszędzie indziej zalegały u podstawy lodowca. Gdy płynęli, metalowe burty łodzi rozsuwały lód z nieprzyjemnym zgrzytem, jakby noże skrobały o stal. Ten dźwięk sprawiał, że przechodziły ją ciarki. Poczucia jeszcze większy chłód, gdy nagle zrozumiała, dokąd się kierują, i zdała sobie sprawę, że w pobliżu nie widać żadnej plaży.

– Czy... czy wpływamy do środka lodowca? – zapytała.

MacNab skinął głową.

– Prosto do serca Helheimu.

Innymi słowy: do świata umarłych.

Godzina 9.54

Douglas MacNab nie spuszczał oka z doktor Eleny Cargill, gdy zbliżali się do czoła lodowca. Zauważył, że zbladła i zaciska palce na burcie łodzi.

Trzymaj się, mała, pomyślał. Nie pożałujesz.

Kiedy usłyszał, że z Egiptu na Grenlandię leci archeolożka, nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Wahał się między wyobrażaniem sobie żeńskiego odpowiednika Indiany Jonesa a jakiejś wydelikaczonej nauczycielki akademickiej, która zupełnie nie będzie pasować do tego surowego krajobrazu. Teraz uznał, że rzeczywistość leży gdzieś pośrodku. Kobieta była wyraźnie zdenerwowana, ale nie protestowała. Poza niepokojem w jej oczach dostrzegał upór i ciekawość.

I nie spodziewał się, że będzie taka ładna. Nie była przesadnie zmysłowo zaokrąglona ani nie wyglądała jak dziewczyna ze zdjęcia podrasowanego w Photoshopie. Była smukła, lecz nie chuda. Miała

pełne usta, wyraziste kości policzkowe i drobne kurze łapki, może od mrużenia oczu w pustynnym słońcu, a może od długich godzin czytania tekstów naukowych. Tak czy inaczej, nadawały jej twarzy skupiony wyraz, jak u srogiej nauczycielki. Poza tym stwierdził, że stanowczo za bardzo interesuje go kosmyk jasnych jak lód włosów, który wymknął się spod jej wełnianej czapki.

– Mac, patrz przed siebie – przykazał mu Nelson. – Chyba że chcesz nas wpakować na zanurzoną górę lodową.

MacNab zeszywniał i obrócił się w stronę dziobu, żeby spojrzeć w głąbie przed łodzią i jednocześnie ukryć rumieniec wpłzający mu na policzki. Błękitna woda stała się mętna i brązowa z powodu mułu wynoszonego spod lodowca.

Wrócił do swojego zadania: wypatrywał niebezpieczeństw ukrytych pod powierzchnią i czyhających ze strony cielącego się lodowca. Wiedział jednak, że jeśli chodzi o czytanie lodu, John Okalik, ich inuicki skiper, ma znacznie bystrzejsze oko. Tubylec pływał po tych zdradliwych wodach od dzieciństwa, prawie pięćdziesiąt lat. A jego rodzina robiła to od pokoleń.

Mimo to MacNab uważnie wypatrywał niebezpieczeństw, gdy zbliżali się do bramy lodowcowej wymytej przez wodę z topniejącego lodu. Otwór miał dziesięć metrów szerokości i dwa razy więcej wysokości. W polu widzenia ukazała się druga metalowa łódź. Cumowała z boku, przywiązana do kołków wbitych w lód. W łodzi siedzieli dwaj mężczyźni, trzymający na kolanach strzelby z dużymi lufami.

John Okalik podniósł się na rufie i szybko do nich zagadał. Byli to jego krewniacy, co w zasadzie mógłby powiedzieć o każdym mieszkańcu osady Tasiilaq.

MacNab przenosił spojrzenie z nich na niego, próbując nadażyć za rozmową. Znał trochę kalaallisut, język, którym posługiwała się większość Inuitów na Grenlandii, ale mężczyźni używali dialektu lokalnego plemienia.

Wreszcie skiper usiadł na ławce przy sterze.

– I co, John, jest dobrze? – zapytał MacNab.

– Moi krewniacy mówią, że tak – odparł John Okalik. – Rzeka wciąż spławna.

Uruchomił silnik i przepłynęli obok drugiej łodzi, wchodząc do kanału wymytego przez wodę. Warkot silnika brzmiał znacznie głośniej w zamkniętej przestrzeni, gdy płynęli pod prąd.

MacNab zauważył, że Elena patrzy na kurczący się łuk światła... i na uzbrojonych mężczyzn.

– Po co ci strażnicy? – rzuciła. – Czy mam się martwić, że są tam niedźwiedzie polarne?

Było to rozsądne przypuszczenie. Musieli się liczyć z zagrożeniem ze strony tych wielkich białych mięsożerców, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich zdumiewającą zdolność do przepływania dużych odległości – chociaż kurcząca się arktyczna pokrywa lodowa dawała im mniejsze pole do popisu.

– Nie chodzi o niedźwiedzie – powiedział MacNab. – Kiedy dostrzemy na miejsce, zrozumiesz.

– Dokąd...?

– Już niedaleko – zapewnił ją. – I sądzę, że będzie lepiej, jeśli zobaczysz to bez żadnych oczekiwań. – Zerknął na Nelsona. – Posłuchaj, jak to odkryliśmy. Przybyłem tu trzy dni temu z Nelsonem, głównie dla mocnych wrażeń, ale również po to, żeby zyskać lepsze pojęcie o procesach zachodzących pod zamrażniętym białym obliczem Helheimu. Wykonywanie głębokich na dwa kilometry odwiertów i analizowanie gazu uwięzionego w starym lodzie nie dostarczają wszystkich informacji. Tutaj nadarzyła się nieczęsta okazja podróży do źródła, do serca lodowca.

Nelson się pochylił, żeby otworzyć wodoszczelny plecak.

– A ja w poszukiwaniu mineralnych skarbów wyoranych przez ten masywny lodowy pług w drodze po powierzchni Grenlandii chciałem tu pobrać próbki – powiedział.

– Co takiego tu jest? – zapytała Elena.

Stęknął, rozsuwając zabezpieczony woskiem suwak.

– Prawdziwym skarbem Grenlandii jest nie słodka woda w postaci lodu, ale to, co kryje się pod lodem. Róg obfitości nietkniętych bogactw mineralnych. Złoto, diamenty i rubiny, potężne żyły miedzi i niklu. Pierwiastki ziem rzadkich. Te złoża są zapowiedzią wielkiego dobrobytu dla Grenlandii i jej mieszkańców.

– Nie wspominając o nabiciu kabzy koncertowi – wtrącił uszczyp-
liwie MacNab.

Nelson zbył ten komentarz drwiącym parsknięciem, po czym wy-
jął jakieś urządzenie i zaczął je kalibrować.

Elena skierowała uwagę na tunel. Błękitny łód stopniowo ciem-
niał.

– Jaki jest długi? – zacięła się.

– Sięga aż do skalistej linii brzegowej – odparł MacNab. – Płynie-
my w głąb jezora lodu, który wychodzi na kilometr w morze.

Godzina 10.02

O Boże...

Po usłyszeniu tej wiadomości Elena oddychała z coraz większym
trudem. Próbowwała wyobrazić sobie ciężar lodu nad głową, wspomi-
nając opisaną przez MacNaba odrywającą się od tego lodowca górę
wielkości dolnego Manhattanu.

A jeśli zacznie się cielić, gdy będziemy w środku?

W końcu zrobiło się tak ciemno, że MacNab zapalił lampę na
dziobie łodzi i skierował snop światła w głąb tunelu. Jarzący się nie-
bieskawo łód, pocięty ciemniejszymi żyłami minerałów przyniesio-
nych z dalekiego wybrzeża, przypominał jakąś starożytną mapę.

Elena oddychała głęboko, nie szczędząc starań, żeby uspokoić
nerwy. Nie miała problemów z wczolgiwaniem się do grobowców, ale
tutaj było zupełnie inaczej. Zewsząd otaczał ją łód. Czowała jego smak
na języku, wciągała go do płuc z każdym wdechem. Całkowicie ota-
czał jej ciało. Była wewnątrz lodu; łód był wewnątrz niej.

Wreszcie w ciemności ukazał się blask, poza zasięgiem lampy na
dziobie.

MacNab spojrział na nią, potwierdzając to, na co miała nadzieję.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Z ostatnim jękiem silnika łódz podpłynęła do miejsca, gdzie błę-
kitny łód kończył się łukiem czarnej skały. Wymyty przez wodę kanał
ciągnął się dalej, woda spływała kaskadą po szeregu kamiennych i lo-

dowych stopni. Ale lampa na baterie – samotne światło w zamrożonym świetle – oznaczała kres ich podróży.

Elena wstrzymała oddech, patrząc na to, co oświetlała lampa. Było tak, jakby niczym latarnia morska zwabiła statek do tego zimnego portu.

– To niemożliwie – wykrztusiła Elena.

Gdy skiper podpłynął do brzegu, MacNab zacumował łódź, mocując linę do pręta wkręconego w ścianę lodu.

Starając się zachować równowagę, Elena wstała, świadoma niebezpieczeństw lodowatej wody. Wyciągnęła szyję, żeby ogarnąć wzrokiem burtę dużego statku, z kilem i drewnianym poszyciem poczerniałym ze starości.

– Skąd to się tu wzięło? – spytała cicho.

MacNab pomógł jej wysiąść z łodzi na mokry skalny występ.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że żeglarze szukali schronienia w tym, co kiedyś było morską jaskinią. – Wskazał ręką czarną skałę wiszącą nad ich głowami. – Utknęli w pułapce, statek został skuty lodem i z czasem przez niego pochłonięty.

– Kiedy to się stało?

– Wnosząc z wieku lodu, oceniam, że około dziewiątego wieku – odparł Nelson, który wysiadł i do nich dołączył.

MacNab spojrział na Elenę.

– Wszyscy myśleli, że Krzysztof Kolumb odkrył Nowy Świat w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim – powiedział. – Stracił tytuł odkrywcy, gdy znaleziono dowody na to, że pod koniec dziesiątego stulecia wikingowie osiedlali się na Grenlandii i w północnej Kanadzie.

– Jeśli miałbyś rację, to by oznaczało, że ten statek wylądował tu sto lat wcześniej – zauważyła Elena. – I że to nie jest statek wikingów.

– Tak właśnie myśleliśmy, ale przecież nie jesteśmy ekspertami.

Nelson pokiwał głową.

– Dlatego tu jesteś – rzucił.

Teraz Elena rozumiała. Była paleontologką i archeologką, ale specjalizowała się w archeologii morskiej. Dlatego została wybrana do odkopywania egipskiego miasta portowego pochłoniętego przez Mo-

rze Śródziemne. Jej sfera zainteresowań sięgała aż do czasów, kiedy człowiek po raz pierwszy odważył się wyruszyć na morze. Takie przedsięwzięcia i stojąca za nimi historia rozwoju techniki ją fascynowały. Prawdopodobnie poślknęła tego bakcyła już jako mała dziewczynka, gdy każdego lata żeglowała z ojcem wokół Martha's Vineyard. Wciąż pielęgnowała te wspomnienia z dzieciństwa, te rzadkie chwile, kiedy mogli razem spędzać wiele czasu. Później nawet na studiach uprawiała wioślarstwo i brała udział w zawodach łodzi wyścigowych Ivy League.

– Domyślasz się, skąd pochodzi ten statek? – zapytał Mac.

– Nie muszę zgadywać. – Pochyliła się ku odsłoniętej rufie. Dziób wciąż tkwił uwięziony w łodzie. – Spójrz, jak są połączone deski poszycia. Użyto liny z włókna kokosowego. To bardzo charakterystyczne.

– Powiedziałaś „włókno kokosowe”?

Skinęła głową i podeszła do złamanych dawno temu dwóch masztów. Sterczały z grotu niczym drzewca flag, z zachowanymi strzępami żagli.

– Dwa żagle łańskie... utkane z liści palmowych.

Nelson uniósł brwi.

– Kokosy i liście palmowe. Więc zdecydowanie nie wikingowie.

– Nie, to sambuk, jedna z największych łodzi typu dau świata arabskiego. Wygląda na to, że miała nawet górny pokład, co ją wyróżnia jako nieczęsto spotykany oceaniczny statek handlowy w świecie arabskim.

– Jeśli masz rację – odezwał się MacNab – w co nie wątpię, to dzięki temu odkryciu będziemy mogli udowodnić, że to Arabowie, a nie wikingowie, pierwsi postawili stopę na Grenlandii.

Elena nie była gotowa potwierdzić tej tezy. Nie zrobi tego, dopóki nie zbada statku metodą węglową. Jednak przyjaciółka, która namówiła ją do przyjazdu na Grenlandię, miała rację. To odkrycie mogło sprawić, że napisze historię na nowo.

Nelson szedł za nią, machając swoim przyrządem.

– Niestety, ci biedni żeglarze nie wrócili do domu, żeby opowiedzieć o swoich przygodach – powiedział.

– Przynajmniej jeden z nich na pewno nie wrócił – zaznaczył MacNab. – Na statku znaleźliśmy tylko jedno ciało. Nie wiadomo, co się stało z resztą załogi.

Niemal oślepiiona Elena gwałtownie się odwróciła, gdy włączył latarkę.

– Więc byłeś w środku?

Wskazał głaz, który roztrzaskał burzę.

– Zostałaś polecona również z innego powodu. To nie wszystko, co odkryliśmy. Chodź ze mną. – Poprowadził ją do uwięzionego statku i ustawił się bokiem, żeby precyzyjnie przesuwać ciało przez pęknięcie w kadłubie. – Patrz pod nogi i staraj się nie dotykać podpór. Mamy szczęście, że lód nie zmiażdżył tego statku. Przez cały czas chronił go strop tej groty.

Elena weszła za nim na pokład, a Nelson ruszył za nimi. John Okalik został w łodzi i kurzył fajkę. W chwili gdy wyłączył silnik, zapadła martwa cisza, jakby świat wstrzymał oddech. Dopiero gdy uszy Eleny przywykły do zmiany, usłyszała lód. Ściany jęczały i wdychały. Niski hałas niósł się tunelem, jakby jakieś ogromne bestie zgrzytały zębami.

Pamięć o niebezpieczeństwie tłumiała jej podniecenie, nie na tyle jednak, żeby powstrzymać ją od zbadania starożytnego wraku.

Latarka MacNaba oświetliła główną ładownię ze stropem podpartym przez poczerńnięte słupy. Szli szybko przez ten martwy las. W powietrzu unosiła się nikła woń kojarząca się z terpentyną albo benzyną. Po obu stronach pod zakrzywionymi burtami stały duże, wysokie do ramienia gliniane dzbany. Jeden pękł dawno temu, jakby eksplodował od środka. Elena poczuła zapach asfaltu, gdy go mijała, lecz wiedziała, że z oceną zawartości będzie musiała zaczekać.

Najwyraźniej jej przewodnik zmierzał do konkretnego celu.

MacNab zaprowadził ich na dziób, gdzie stopnie wiodły do drzwi w drewnianej ścianie.

– Przypuszczamy, że tu była kajuta kapitana.

Wszedł pierwszy, zginając się wpół. Za drzwiami przesunął się w bok i wyciągnął rękę do Eleny. Nogi miała jak z waty z powodu zapierającego dech podniecenia – przemieszanego ze sporą miarką strachu – więc chętnie przyjęła pomocną dłoń.

Dołączyła do MacNaba w ciemnym ciasnym pomieszczeniu. Po obu stronach wisiały półki z książkami i zwojami, które dawno temu przemieniły się w murszejące szczątki. Przód małej kajuty zajmował stół wpasowany w półkolisty dziób statku.

– Może lepiej się przygotuj – uprzedził ją MacNab.

Przesunął się, żeby mogła tam podejść. Zrobiła krok i zaraz się cofnęła. Przed stołem stało krzesło. Nie było puste. Siedziała tam postać w płaszczu z futra niedźwiedzia polarnego. Górna część ciała spoczywała na stole, z policzkiem przyciśniętym do blatu.

Elena zrobiła głęboki wdech, żeby się uspokoić. Badała mumie w Egipcie, nawet przeprowadzała sekcje. Ale to ciało było znacznie bardziej niepokojące. Skóra poczerniała, zyskując niemal ten sam odcień co blat. Wyglądało to niemal tak, jakby zwłoki i stół tworzyły jedność. Ciało zachowało się w doskonałym stanie, łącznie z rzęsami okalającymi białe gałki oczne. Niemal się spodziewała, że trup zamruga.

– Kapitan poszedł na dno wraz ze statkiem – rzucił w roztargnieniu Nelson, skupiony na swoim przyrządzie.

– Może chciał chronić to. – MacNab skierował snop światła na spoczywające na blacie ręce.

Kościste dłonie obejmowały skrzynkę, która miała kwadratową podstawę o boku sześćdziesięciu centymetrów, wysoką na jakieś piętnaście. Wieko było równie czarne jak wszystko inne i chyba zaopatrzone w zawiasy.

– Co to jest? – Elena podeszła do MacNaba, czerpiąc pewną poaciechę z bliskości jego masywnej postaci.

– Ty mi powiedz. – Sięgnął nad ciałem i uniósł wieko.

Z wnętrza wybuchło światło, ale gdy zamrugała, uświadomiła sobie, że jasność jest tylko odbiciem blasku latarki od złotej powierzchni.

Pochyliła się, zszokowana tym, co zobaczyła.

– To mapa. – Przyjrzała się trójwymiarowemu odwzorowaniu mórz i oceanów, kontynentów i wysp. Prześledziła zarysy głównego akwenu, wyłożonego bezcennym niebieskim lapis lazuli. – To musi być Morze Śródziemne.

Mapa obejmowała nie tylko to morze, ale również północną Afrykę, Bliski Wschód, całą Europę i otaczające ją wody. Sięgała do Atlantyku, ale nie do Islandii czy Grenlandii.

Ci żeglarze wypłynęli poza skraj swojej mapy, pomyślała Elena.

Ale dlaczego? Czy byli odkrywcami szukającymi nowych ziem? Czy sztormy zniosły ich z kursu? Czy uciekali przed jakimś zagrożeniem? Setki innych pytań kłębiły jej się w głowie.

W górnej części mapy tkwiło misterne srebrne urządzenie. Było kuliste, o średnicy piętnastu centymetrów, do połowy zagłębione w złotej mapie. Jego powierzchnię, podzieloną przez zakrzywione wskaźniki, otaczały pasma południków i równoleżników, wszystkie oznaczone arabskimi symbolami i liczbami.

– Co to jest? – zapytał MacNab, widząc jej zainteresowanie.

– Astrolabium. Przyrząd używany przez nawigatorów i astronomów, służący do określania czasu i pozycji statku, a nawet pozwalający zidentyfikować gwiazdy i planety. – Spojrzała na niego. – Większość najwcześniejszych astrolabiów była nieskomplikowanymi przyrządami, wyglądały po prostu jak płaskie dyski. Ten sferyczny projekt... wyprzedza swój czas o stulecia.

– I to nie wszystko – rzucił MacNab. – Popatrz na to.

Sięgnął do boku skrzynki, gdzie spoczywała ręka martwego kapitana. Przesunął dźwigenkę i ze środka dobiegło tykanie. Astrolabium zaczęło się powoli obracać, napędzane przez ukryty mechanizm. Ruch przyciągnął wzrok Eleny na lapis Morza Śródziemnego. Maleńki srebrny statek odbił od wybrzeża dzisiejszej Turcji.

– Co z tego rozumiesz? – zapytał MacNab.

Pokręciła głową, równie zdumiona jak on.

Nelson odchrząknął.

– Słuchajcie, może lepiej zostawić to w spokoju.

Odwrocili się w jego stronę. Wciąż wpatrywał się w ekran swojego przyrządu. Stuknął palcem w tarczę i rozległo się ciche trzeszczenie.

– Co się dzieje? – zapytał MacNab.

– Wspomniałem o tutejszych bogactwach mineralnych czekających na wydobycie. Zapomniałem wspomnieć o jednym. O uranie. – Uniósł przyrząd wyżej. – Za pierwszym razem nie pomyślałem, żeby

zabrać ze sobą licznik Geigera, ale dzisiaj uznałem, że mam okazję naprawić ten błąd.

Elena spojrzała w górę, jakby próbowała przebić wzrokiem strop ładowni i zobaczyć skałę i lód.

– Mówisz, że stoimy w środku złoża uranu?

– Nie. Pierwszy raz mam taki odczyt. Po tym, jak Mac otworzył tę skrzynkę. – Nelson przysunął licznik do mapy. Trzaski miały teraz większą częstotliwość i były głośniejsze. – To urządzenie jest radioaktywne.

MacNab zaklął i szybko zamknął wieko.

Wszyscy się cofnęli.

– Jak bardzo? – zapytał.

– Mniej więcej odpowiednik robionego co minutę prześwietlenia klatki piersiowej.

– W takim razie musimy to tu zostawić. – MacNab poprowadził ich z powrotem do ładowni. – Strażnicy będą pilnować wejścia do kanału, na wypadek gdyby wieść o tym skarbie dotarła do niepowołanych uszu. Możemy wrócić później z jakimiś ołowianymi osłonami i wynieść stąd urządzenie. Zabrać je w jakieś bezpieczne miejsce.

Wyszli z zamarzniętego statku i wrócili na brzeg lodowatej rzeki. Plan MacNaba miał sens, ale Elenie nie podobała się myśl nawet o najkrótszej zwłoce. Popatrzyła tęsknie na wrak, pragnąc poznać jego historię.

Gdy się odwróciła, tunelem wstrząsnęło grzmiące dudnienie. Woda zachlupotała o brzegi kanału. Bryły lodu z trzaskiem spadły do rzeki.

Przysunęła się do MacNaba.

– Kolejne trzęsienie?

– Nie...

Gdy echo ucichło, dotarł do nich nowy hałas. Szybkie pykanie, jakby odpalane kolejno fajerwerki.

Spojrzała na MacNaba.

– To strzały – powiedział i chwycił ją za rękę. – Ktoś nas atakuje.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).